

Od punkówy do MaMy

z Sylwią Chutnik

rozmawiają Justyna Zimna i Michał Larek

fot. Wydawnictwo Větrné mlýny
Festiwal Literacki „Miesiąc czytania autorskiego”, Brno 2011



Byłam zbuntowanym dzieckiem. Nie szanowałam matki. Więc po urodzeniu dziecka powiedziałam: mamo, wybacz.

Michał Larek: Od 2006 roku prowadzisz Fundację MaMa. Jakie są cele tej instytucji?

Zakładałam ją z koleżankami, które znałam jeszcze z działalności feministycznej. To ważne, bo to są nasze korzenie.

Głównym celem było uchronienie mnie od frustracji. Gdy urodziłam dziecko, byłam młodą osobą. Chciałam się uwolnić od gniazda matek przy piaskownicy.

Byłyśmy już wtedy gotowe do działania systemowego. Nie pikietą pod sejmem, ale spotkanie z posłanką. To była istotna zmiana w myśleniu. Postanowiłyśmy zachęcić kobiety do działania na rzecz zmian swojej sytuacji, skoro im się ona nie podoba. Chciałyśmy też je wyprosić z domu, bo wydało się nam, że będzie dobrze dopiero wtedy, gdy matki opuszczą cztery ściany, zaczną się spotykać i omawiać wreszcie swoje problemy – tak mocno tabuizowane. Kolejna rzecz: zależało nam na tym, żeby poruszać tematy, o których do tej pory nikt nie mówił. Stąd bariera architektoniczna, od której zaczęłyśmy. Nikt wcześniej nie zwrócił uwagi, że to jest problem także młodych rodziców, mocno osadzony w codzienności. A to nas bardzo interesuje, bardziej niż wzniosłe idee.

M.L.: Feminizm i macierzyństwo...

Wtedy w ruchu feministycznym nie mówiło się wiele o macierzyństwie. Była tylko aborcja, usuwasz, nie usuwasz. Na tym się kończyła kwestia planów reprodukcyjnych. Hasło „Moje ciało, mój wybór” było traktowane dość jednoznacznie. Chodziło o nieplanowaną ciążę. Nie było zbyt dużo opracowań naukowych na ten temat, Bobrowska, Adrienne Rich. To być może było spowodowane bardzo prostą rzeczą. Większość feministek w tamtych czasach, czyli w połowie lat dziesiątych, nie miała dzieci. Dzisiaj Polska jest inną przestrzenią do rozmowy.

M.L.: Uważasz, że polskie macierzyństwo to projekt patriarchalny, męski?

Tak. Macierzyństwo w Polsce jest nadal nieodzyskane. O ile Polki jakoś tam się emancypują, czasem dzięki kolorowym pisemkom, o tyle matki dopiero zaczynają szeroko otwierać oczy. A kto napisał mój scenariusz? Bo nie ja! Ale to jest proces bardzo trudny. Z tego względu, że w Polsce macierzyństwo jest totalnie oblepione stereotypami, dotyczącymi chociażby tej sławnej matki Polki. Kobieta nie ma tu pragnień, ambicji, nie ma tożsamości. Myślę też o obleśnym, tradycjonalistycznym przekonaniu, zakorzenionym także w religii katolickiej, że ta nasza matka, którą ma się tylko jedną, która jest największą świętością, którą całujemy w rękę 26 maja, ma zapierdzielać ze ściera i obsługiwać nas do grobowej dechy. To robią i kolesie, i dziewczyny. Przykładem jest tu niesamowite przywiązanie do instytucji babci. Dla wielu osób w Polsce naturalne jest, że ich matki opiekują się ich dziećmi. To pewnie jest wzruszające i piękne, ale dobrze by było, gdyby każdy z nas mógł mieć na ten temat własne zdanie. Myślę, że przydałaby się nam także emancypacja babć. Ale to się stanie gdzieś dopiero za 30 lat, kiedy my się staniemy babciami.

M.L.: Na stronie internetowej piszecie o tym, że interesują was realne problemy kobiet. Czyli jakie?

Oczywiście bardzo różne. Ale też i bardzo konkretne. Nie boimy się więc próby zmiany ustaw, ale też tak zwanego systemu. Większość z nas pochodzi ze środowisk punkowych.

M.L.: I już nie olewacie systemu.

Nie, no, staramy się go oczywiście olewać. Ale w pewnym wieku pojawia się pytanie: no dobra, ale jak już olejemy ten system, to co dalej? Realne problemy są osadzone w różnych kontekstach. Dla jednej mamy realnym problemem będzie to, że jej spółdzielnia czy wspólnota mieszkaniowa nie zgadza się na wybudowanie podjazdu na pięć schodków, bo uważa, że przepisy przeciwpożarowe tego zabraniają. Dla innej realnym problemem będzie to, że jej były partner i ojciec dziecka zabrania jej wyjechać z dziećmi za granicę na urlop. Bo nie. Bo on rządzi.

M.L.: Skoro mówicie o „realnych” problemach, to jednocześnie sugerujecie, że są wymudane problemy.

Powiem to, ale nie chciałabym, żeby to zabrzmiało jak wartościowanie. Jakiej firmy wózek wybrać? Takie problemy uwielbiają matki. Uwielbiają skupiać się na nieistotnych rzeczach.

Justyna Zimna: Na konsumpcji macierzyństwa. Tak. To jest problem czasopisma, agencji reklamowej. Nie nasz. Matki uwielbiają godzinami gadać o zupkach i pupkach, a nie zwracają uwagi, że ktoś przed chwilą bezprawnie zwolnił je z pracy. Nasza praca to praca siłaczek. Kobiety nie chcą o tym rozmawiać.

J.Z.: W imieniu jakiej zbiorowości matek występujecie?
Żadnej na szczęście.

J.Z.: Ale wasze artykuły korzystają z takich zbiorowościowych formuł, „Hej, nie dajmy się, zmierzmy coś, nie róbmy czegoś”.

My się ciągle pilnujemy, żeby nie mówić w imieniu matek, bo ich jest naprawdę dużo. Mamy takie szerokie spektrum kobiet, które się do nas zgłaszają... Są ekomamy, są mamy dysfunkcyjne społeczne. Kiedy piszemy nasze płomienne manifesty, mamy na myśli siebie. Mamy świadomość, że mieszkamy w specyficznym środowisku. Wielkomijskim, w bańce mydlanej. Wolne zawody, akademickie środowiska, sztuka? Co to za procent społeczeństwa jest, przepraszam bardzo? Ale wierzymy, że są problemy wspólne. Od barier architektonicznych po poczucie braku spełnienia w macierzyństwie.

J.Z.: Rozumiem, że macie dalekosiężny cel. Tworzycie inne społeczeństwo.

Tak. To trudne, ale każda organizacja powinna mieć tego rodzaju cel. Za pięć, dziesięć lat. Ten cel to zmiana podejścia do macierzyństwa. Także zmiana podejścia do macierzyństwa samych matek. No i próba pokazania kobietom, że można sobie scenariusz życiowy napisać. Że można mieć pomysły na własne macierzyństwo. To feministyczna wizja. Wcześniej mówiłam o matce Polce. A teraz przecież jest supermama. Kolorowe pisemka, fora internetowe, gdzie można znaleźć 1500 scenariuszy macierzyństwa. Matka, która wraca do pracy po tygodniu. Matka, która nie pracuje.

M.L.: Mamy więc, z jednej strony, opresywną monologiczność, a z drugiej – przerażającą różnorodność.

No, ona jest przerażająca o tyle, o ile przerażająca jest nasza dorosłość.

J.Z.: Polki potrzebują odpowiedzi?
Polki potrzebują odpowiedzi. A przecież tę przerażającą wielość trzeba przyjąć na klatę.

W końcu jesteśmy dorosłymi osobami. Wiadomo, że nasze wybory życiowe będą mieć plusy i minusy. A polskiej matki nie stać na refleksję, co ja chcę robić. Martwi się raczej tym, co powie teściowa, mąż, czy dobrze wygląda. Macierzyństwo jest pod takim obstrzałem, że boimy się, iż każdy nasz wybór będzie beznaoczny.

J.Z.: Nie masz wrażenia, że to jest...
Konflikt tragiczny?

M.L.: [śmiej]

J.Z.: Czy matki potrzebują szefa?

Matki uwielbiają szefa. A najbardziej lubią szefowe. Bo szefowymi matek są inne matki. To bezustanna samokontrola. Na przykład szkoła. To miejsce bezustannego pilnowania się nawzajem. Ojcowie są bardziej wyluzowani. Widzę to po sobie i swoim chłopaku, który często mówi: Boże, już weź się uspokój. A ja: nie, nie, mój syn nie miał kredki. Co pani sobie pomyślała o mnie [śmiej]. On nie miał kredki, a ja jestem winna. Taka jazda non stop się robi w głowie.

J.Z.: Byłaś kiedyś świadkiem sceny, w której matka niepracująca poucza matkę pracującą i odwrotnie?

Tak. Non stop jest ocenianie i pouczanie. Dla tego matki, które nie mają szefowych, nie mają zarazem punktu odniesienia.

J.Z.: Czy to nie oznacza, że one tak morderczo potrzebują stereotypów, bo stereotyp oferuje gotowy scenariusz?

Dlatego tak dużo katolików mamy w tym spisie. I nie chodzi tu o to, że katolicyzm jest zły. Byłoby tak samo w wypadku prawosławia. Ludzie lubią, gdy prowadzi ich tradycja. Życie jest wtedy łatwe. To taki mały domek.

J.Z.: To, co mówisz o macierzyństwie, oparłaś na własnych doświadczeniach. Co zmieniło w Twoim życiu macierzyństwo? Co Ci się stało, gdy zostałaś matką?

Miałam 23 lata, gdy zaszłam w ciążę. Była to ciąża planowana. Wydawało mi się, że wszystko wiem. Że nic mnie nie zaskoczy. Znajdowałam się w jakimś totalnym rozpedzie. Studia, imprezy. Zatrzymałam się dopiero, kiedy Bruno miał rok. Obroniłam się. I mówię do siebie: kurde, coś chyba się zmieniło [śmiej]. Do tej pory matka kojarzyła mi się z podomkami, więc nie chciałam dopuścić do siebie myśli, że jestem matką. Znałam przecież tylko ten jeden scenariusz macierzyństwa. Gender studies na niewiele się przydały. Nie było fakultetu z macierzyństwa.

M.L.: Czy nie jest tak, że macierzyństwo daje wyjątkowy, głębszy, wnikliwszy, bardziej odpowiedzialny wgląd w rzeczywistość? Matka musi przecież przemyśleć na nowo wszystko. Relacje z własnym ciałem, z dzieckiem, które właśnie się pojawiło, z partnerem i tak dalej. Rzeczywistość przestaje być oczywista.

Dziecko dało mi ramy życiowe. Od dziewiętej do szesnastej. Do szesnastej dzieje się wszystko. Ramy intelektualne również. Człowiek przestaje zwracać uwagę na rzeczy błahe, zajmować się pierdołami. Nauczyłam się szacunku dla czasu. Wewnętrznej samokontroli. Matki działają jak strzały.

M.L.: A czy po urodzeniu dziecka zmieniły się Twoje relacje z własną matką?

Tak. O Boże... [śmiej] Ja się załamalam. Jaką ja byłam gówniarą. Ręce mi opadają. Byłam zbuntowanym dzieckiem. Nie szanowałam matki. Więc po urodzeniu dziecka powiedziałam: mam, wybacz. Najgorsze jest to, że matki mówią nam zawsze: zobaczysz, będziesz miała swoje dziecko. Najbardziej zrozumiałam strach matki o mnie. Ja też się boję.

Warszawa, 2 sierpnia 2011